CZWARTEK
Nr 119 6 X 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Na stronie 5 znajdziecie m.in. wywiad z kpt. KRYSTYNĄ KULCZYCKĄ, na której ręce składamy dziś serdeczne życzenia z okazji Święta Milicji Obywatelskiej

Fot. M. Szymański

BĘDĄ ODLEWY DLA „URSUSA"

LUBLIN (PAP). Na budowie odlewni żeliwa w Lublinie podłączono już wodę i energię elektryczną oraz wszystkie pozostałe instalacje energetyczne niezbędne do rozpoczęcia produkcji. Dzięki wyrobom tej odlewni będzie możliwe rozwinięcie produkcji licencyjnego ciągnika Massey-Ferguson-Perkins.

Budowana od 1976 roku kosztem przeszło 30 mld zł lubelska odlewnia będzie należeć do największych i najnowocześniejszych w kraju. Dwukondygnacyjna, przeszło 11-hektarowa hala produkcyjna wyposażona jest w urządzenia liczących się na światowym rynku zachodnich firm, jak Georg Fischer, Dismatic czy Brown-Bovery-Corporation. Linie technologiczne będą sterowane komputerowo.

Wstępny rozruch formierni przewidywany jest jesienią br., zaś w grudniu mają być wykonane pierwsze odlewy silnika ciągnikowego. W przyszłym roku lubelska odlewnia dostarczy 10 tys. ton odlewów, co pozwoli na uruchomienie w warszawskich zakładach „Ursus" hal obróbki i montażu silnika, bezczynnie stojących od dwu lat.

(gr)

W Czechosłowacji mniej boli

CSRS (PAI). W zakładach produkcji sprzętu medycznego „Chirana" Stara Tura (okręg zachodnioczeski) przystąpiono do produkcji urządzenia do uśmierzania bólu i do leczenia elektroakupunkturą. Jest to miniaturowe przenośne urządzenie o prostej obsłudze. Aparat otrzymał nazwę „Analgonic 1".

Na bezbolesne zabiegi przy pomocy metod elektrostymulacyjnych pozwalają najnowsze zdobycze z dziedziny fizjologii bólu. Zabiegi te stosowane są głównie w chronicznych stanach bólowych i jeśli prowadzone są pod nadzorem lekarza, nie wywołują niepożądanych skutków ubocznych.

W roku 1983 do szpitali czechosłowackich będzie dostarczonych ponad tysiąc aparatów neurostymulacyjnych „Analgonic 1".

(jo)

Zaproszenie na Gocławek

LÓD JUŻ OD 1 października

Kierownik Warszawskiego Ośrodka Rekreacyjno-Rozrywkowego „Gocław", pan Janusz Mierkowski, informuje za naszym pośrednictwem, że od 1 października br. czynna jest sztuczne lodowisko. Zlokalizowano je w hangarze dawnego Aeroklubu, przy Wale Miedzeszyńskim. Ze ślizgawki korzystać mogą wszyscy chętni (nie tylko mieszkańcy stolicy), bez względu na pogodę, w godzinach 14–20 w dni powszednie i 12–20 w soboty i niedziele. Ośrodek organizuje także szkółkę łyżwiarską, której zajęcia odbywać się będą w soboty i niedziele przed południem. Zapisy przyjmuje kierownictwo ośrodka – telefon 17–90–81 wewn. 14. Dodajmy, że na miejscu, za drobną opłatą, można wypożyczyć sprzęt.

Jednocześnie uruchomiony zostaje dział tenisa stołowego, czynny w godzinach otwarcia lodowiska.

Dojazd do ośrodka autobusami 111, 146, 147, 168, 411.

Panu Januszowi Mierkowskiemu dziękujemy za cenną informację i zaproszenie. Co na to kierownicy pozostałych ośrodków?

(zp)

POLACY NA KONGRESIE ENERGETYKÓW

(PAP). W New Delhi w Indiach zakończył się XII Kongres Światowej Konferencji Energetycznej. Konferencja jako organizacja zajmuje się analizą zasobów surowców energetycznych na świecie, studiami nad technologią ich wydobycia i przetwarzania oraz produkcją szlachetniejszych nośników energii i ich użytkowania. Światowa Konferencja Energetyczna powstała w 1924 roku. Wśród 47 krajów, które ją utworzyły, była również Polska. Obecnie konferencja zrzesza 81 państw.

Tegoroczny kongres odbywał się pod hasłem „Energia – rozwój – jakość życia". Głównym tematem obrad były problemy innowacji technicznych i technologicznych w dziedzinie eksploatacji zasobów energetycznych, wpływ rozwoju energetyki na społeczeństwo, a także problemy współpracy międzynarodowej w tej dziedzinie.

W kongresie uczestniczyło 5 delegatów z Polski. Wygłosili oni dwa referaty dotyczące przetwórstwa węgla i zapotrzebowania na energię do roku 2000 oraz przedstawili raport o pozyskaniu i zużyciu energii w Polsce. (gr)

Zaskakująca przyroda

Mieszkańcy Sofii i goście, którzy przybyli ostatnio do stolicy Bułgarii obserwowali niecodzienne o tej porze zjawisko. Na bulwarach większość drzew kasztanowych pokryła się kwiatami, jak na wiosnę.

Okazało się, że tego rodzaju zjawiska występują również w innych częściach Bułgarii. Na przykład, w mieście Rakitowo zakwitły czereśnie, wiśnie i niektóre inne drzewa i krzewy. Wszystko wskazuje na to, że jeszcze w tym roku będzie można zebrać owoce z kwitnących tak późno drzew i krzewów.

(jz)

Bestseller dla dzieci

(PAP). 9 września br. w Studiu Filmów Rysunkowych zaprezentowano nowy pełnometrażowy film dla dzieci „Przygody błękitnego rycerzyka" wg scenariusza Leszka **Mecha** i **Lechosława Marszałka**, który jest też reżyserem obrazu. Piosenki śpiewają m.in. „Alibabki", Michał Bajor, Piotr Fronczewski, Wiesław Michnikowski i Andrzej Stockinger.

Recenzję z tego filmu przeczytasz na str. 3. Jednocześnie informujemy, że w bielskim studiu powstaje trzeci pełnometrażowy film animowany „Porwanie w Tiutiurlistanie", wg znanej powieści Wojciecha Żukrowskiego w realizacji Zdzisława Kudły i Franciszka Pytera. (kl)

„MISTRZOWIE KARTINGU"

11 września br. w Lublinie odbyły się Kartingowe Mistrzostwa Polski w kategorii wieku 13–19 lat. Zawodnicy startowali na pojazdach z silnikami WSK 125 cm³ bez przeróbek.

Duży sukces odnieśli chłopcy z Gdańska i Warszawy. Zwyciężył **Benedykt Hoppe** (18 lat) z Transbudu Gdańsk, przed **Pawłem Bielewiczem** (19 lat) – AK Warszawa i **Grzegorzem Wiśniewskim** (15 lat) – AK Warszawa.

Zamieszczając niniejszą informację, chcemy jednocześnie przeprosić czytelników za błędną notatkę jaką wydrukowaliśmy w nr 112 z 20 IX 83 r. W zawodach kartingowych o Puchar Ministra Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze na rok 1983 zwyciężył B. Hoppe przed R. Knyszewskim, obaj z Gdańska, a drużynowo Gdańsk. (ww)

„AKWARIUM DLA KAŻDEGO"

znów na łamach „Świata Młodych"!

Dziś – na str. 7 – kolejne wydanie, a w nim: o zdobywaniu żywego pokarmu dla ryb, o cenach rybek i urządzeń oraz odpowiedzi na listy.

Na rysunku: u góry – samczyk bojownika syjamskiego, u dołu – samczyk wielkopłetwa wspaniałego.

Chociaż Tarnów nie leży nad morzem...

Chociaż Tarnów od morza położony jest daleko, wielu jego mieszkańcom sprawy morskie są bliskie.

Przykład stanowi Szkoła Podstawowa nr 19, w której prowadzone jest morskie wychowanie. Uczniowie tej szkoły posiadają marynarskie mundurki i obowiązuje tu ceremoniał morski. Nierzadko też goszczą w jej murach ludzie morza – reprezentujący Polską Żeglugę Morską. Szkole tej wiosną przyszłego roku nadane zostanie imię PZM. A w tym roku – tarnowska dziewiętnastka otrzymała wspaniały dar od PZM. Jest nim stara, wystużona kotwica, taka, która opłynęła cały świat. Podarunek waży, bagatela, piętnaście ton, a stanie przed szkołą na specjalnym postumencie. Przedstawiciele PZM wraz z kotwicą przywieźli wiele morskich rekwizytów, takich jak kompasy, zegary okrętowe, mapy morskie, kod flagowy, sekstans, lampy, bandery. Te drobniejsze dary ozdobią szkolną izbę Tradycji Morskich.

Od siebie musimy dodać, że Polska Żegluga Morska niejednokrotnie popierała i nasze inicjatywy związane z morskim wychowaniem – fundując upominki na nagrody konkursowe i delegując swoich przedstawicieli na spotkania, z młodzieżą organizowane przez „Świat Młodych". (wm)

NIE DAMY CIĘ, TEODORZE,

czyli rzecz o harcerskiej uczciwości

Wakacje się skończyły i nadszedł czas podsumowania tegorocznej HAL'83. Spędziłam ją niemalże w całości na harcerskich obozach, rajdach i biwakach. Poznałam mnóstwo ciekawych ludzi, brałam udział w cudownych, niezapomnianych imprezach. Wiele się w ciągu minionego lata nauczyłam. I chyba mogłabym powiedzieć, że były to jak dotąd najwspanialsze wakacje mego życia, gdyby nie... No właśnie!

Coraz częściej zauważam, że gdzieś na szlaku, pośród radosnego zgiełku wspaniale umundurowanej braci, wśród super wygodnych namiotów i plecaków na stelażach giną gdzieś nasze harcerskie ideały. W maniackim niemal dążeniu do zwycięstwa za wszelką cenę, które przejawia się zazwyczaj w zdobyciu symbolicznego I miejsca, dziwnie szybko zapominamy nie tylko o 10 punktach Prawa Harcerskiego, zasadach fair play, ale i o zwykłej, ludzkiej uczciwości.

Być może zarzucicie i teraz, że nudzę, przesadzam, że wyolbrzymiam jakieś sporadyczne zjawisko. Chciałabym wierzyć, że tak jest.

* * *

Brałam udział w grze terenowej polegającej na zdobywaniu dobrze strzeżonego proporca. Harcerze podzieleni byli na dwie grupy, różniące się między sobą kolorem wstążek przyczepionych do mundurów. Jedna z druhen tak zapragnęła posmakować zwycięstwa, że nawet kiedy została schwytana okłamała trzymającego ją harcerza, który chciał odebrać jej znak rozpoznawczy. Powiedziała, że jest już wzięta do niewoli i oddała swoją kokardę, czyli praktycznie nie bierze już udziału w grze. Zdezorientowany chłopak, nie mogąc znaleźć u niej wstążki, która była (wbrew umowie) dobrze ukryta, uwierzył i puścił przebiegłą druhnę wolno. Ona tylko na to czekała. Wbiegła szybko na plac apelowy i zdobyła proporzec.

Gra skończyła się przed czasem, dowództwo oceniło ją na remis (prawdopodobnie chodziło o uniknięcie sporów i waśni). Większość harcowników, która nie zdążyła się jeszcze pobawić, była zła i rozgoryczona postępkiem swojej koleżanki. Ona jednak nie chciała zrozumieć swego błędu. Według niej „wszystkie chwyty były dozwolone".

* * *

Innym razem podczas harcerskiego rajdu, na którym panowała ostra rywalizacja, zastęp harcerek zabłądził ok. 0,5 km przed metą. Zadowolone z siebie dziewczęta (za sobą miały całkiem pokaźne, górskie szczyty) nie zauważyły nawet, że idą w przeciwnym niż powinny kierunku. Po drodze minęły harcerzy z dwu znajomych grup rajdowych, które po rozbiciu biwaku na mecie wracały z pobliskiego sklepu. Pomachali oni nawet naszym harcerkom, ale nie przyszło im absolutnie do głowy, aby poinformować konkurencyjny zastęp, iż podąża w złym kierunku.

Dziewczyny uświadomiły sobie pomyłkę dopiero po przejściu 4 km, co wliczając drogę powrotną dało ok. 8 km. Szły od rana, po górach, z pełnym ekwipunkiem (20 km z namiotami i prowiantem). Szczęście, że rozkładając umiejętnie siły dotarły w końcu do mety. Z przygody tej wyniosły przekonanie, że mogą liczyć wyłącznie na siebie.

* * *

I wreszcie wypadek najbardziej przykry. Sprawa, obok której nikt nie powinien przejść obojętnie. Bo kradzież jest czynem, który nie może być tolerowany w harcerskim środowisku.

– Musimy mieć coś własnego – stwierdziły kiedyś dziewczęta z mojej drużyny. I tak się do tego pomysłu zapaliły, że każda przyniosła kłębek wełny i wspólnie zabrały się do pracy. Po kilku tygodniach pracowitego machania drutami gotowy był już nasz Żmij. Wkrótce nowy nabytek i ulubieniec drużyny zyskał miano Teodora. Maskotka była naprawdę imponująca. Czterometrowy ogon w bajeczne kolorowe paski i sympatyczny łepek zaopatrzony w paciorkowy nos, dwa ogromne guzikowe oczy i plakietkę – dar zaprzyjaźnionego szczepu „Proton", miał odtąd towarzyszyć naszej drużynie we wszystkich wojażach.

Wakacje Teodor spędził oczywiście z nami. W lipcu był w Bieszczadach, gdzie uznawany niemalże za pełnoprawnego członka zastępu stał się ulubieńcem stanicy. Aż wreszcie nadszedł sierpień i Żmij pojechał wraz z zastępami 12 KDH na II Polową Zbiórkę Harcerzy Starszych. Być może gdyby został w domu cieszyłyby się nim do dziś.

To był dosłownie moment. Spakowane plecaki i leżący obok nich Teodor czekały tylko na hasło wymarszu. Zaaferowane mnogością pożegnalnych całusów druhny nie zauważyły nawet, że dwóch przechodzących nieopodal chłopców zbliżyło się do szeregu plecaków i szybko chwyciło leżącą maskotkę. Byli już dość daleko, gdy jedna z dziewcząt zauważyła co się stało.

– Oddajcie naszego Żmija – krzyknęła, ale złodzieje znikali już w tłumie wyruszających do Węgorzewa harcerzy.

Początkowo miałyśmy nadzieję, że ktoś zrobił nam po prostu głupi kawał. Zapamiętałyśmy doskonale wygląd owych chłopaków: obaj byli wysokimi blondynami. Jeden nosił czarną, drugi zieloną chustę. Zaalarmowałyśmy wszystkich przyjaciół, a same rozbiegłyśmy się w poszukiwaniu zguby. Ale Teodor przepadł jak kamień w wodę.

Ogarnęła nas czarna rozpacz. Poczułyśmy się bezsilne i zwyczajnie chciało nam się płakać. Zrozumiałyśmy, jak trudno będzie nam znaleźć złodziei wśród kilku tysięcy podobnych do siebie harcerzy. A jeszcze do tego trzeba było przerwać poszukiwania i udać się na dworzec PKP.

Z ponurymi minami spoglądałyśmy przez okna pociągu, który ruszał właśnie ze stacji Kętrzyn. A wtedy... Teodor, nasz Teodor!... i znów uczucie bezsilności, bo niestety, nikomu nie udało się już wyskoczyć z pociągu.

W nas wstąpił jednak jakiś nowy duch. Doszłyśmy do wniosku, że przecież ktoś musiał zapamiętać harcerzy podróżujących z tak charakterystyczną maskotką. Już po chwili przez pociąg wypełniony do granic wytrzymałości wiarą w szarych i zielonych mundurach przedzierała się niepozorna druhna. Opowiadała o wyrządzonej krzywdzie, pytała o Teodora i jego „nowych opiekunów". Spotkała się z bardzo serdecznym przyjęciem. Wszyscy byli poruszeni, każdy chciał pomóc, przyczynić się do zidentyfikowania nieuczciwych druhów.

Nie minęło wiele czasu, a starannie zapisująca wszelkie informacje dziewczyna wiedziała już, na którym biwaku mieszkali, znała ich nazwiska i adres oraz chorągiew. Znaleźli się również świadkowie, którzy widzieli moment ukrywania Żmija w plecaku. Inni opowiadali, że chłopiec w czarnej chuście chwalił się nawet „zdobyciem" maskotki.

Cóż więc zrobimy? Najpierw napiszemy do jednego z podejrzanych o kradzież chłopców list. Jeżeli nie odniesie to żadnego skutku, postaramy się dotrzeć do szkoły i hufca. Będziemy działać aż do skutku. NIE DAMY CIĘ, TEODORZE! – postanowiłyśmy.

Wioletta Bąk
ul. Żwirki 2
97-140 Koluszki

P.S. 12 DH im. K.K. Baczyńskiego w Koluszkach bardzo prosi wszystkich harcerzy o pomoc w odnalezieniu Teodora. Wierzymy, że ktoś spośród Was zauważy naszą maskotkę i przekaże nam informacje o niej.

REDAKCYJNA POCZTA

Co przeszkadza Joli, że Ela lubi Chopina?

Piszę, aby pomóc Dalii (91 nr „RP"), która użala się, że jest „gorsza", ponieważ koleżanki śmieją się z jej zainteresowań muzyką poważną. Ja, co prawda, tym rodzajem muzyki się nie pasjonuję, woląc Urszulę czy Lady Pank, ale denerwują mnie pewne objawy postępowania młodzieży. Dlaczego, ani trochę się na tym nie znając, przeszkadzają innym upajać się nim Bachem? Odkąd to otoczenie wybiera zainteresowania poszczególnym osobom? Co takiej Joli przeszkadza, że Ela spędza czas przy Chopinie? Niech sobie w tym czasie słucha „trójki" lub skacze na dyskotece. Eli to zawadzać na pewno nie będzie.

Dalej – dlaczego uznają Cię za „małolatę", choć sami zachowują się dziecinnie?

Dalio! Gdyby się nikt z Tobą i ze mną nie zgadzał, ja i tak pragnę Cię wesprzeć. Wiedz, że są jednostki, które choć (tak jak ja) nie przepadają za tym co Ty, pragnę Ci pomóc. Jeżeli chodzi o rozmowę z koleżankami, to radzę: nie opowiadaj o swoim hobby, bo pogorszysz swoją sytuację. Myślę, że są też inni podobni do Dalii. Nie martwcie się i rozwijajcie swoje pasje. Nie bądźcie smutni, niešmiali, skryci i samotni.

„Ramona" z Warszawy

Twoje koleżanki są niesympatyczne

Piszę w odpowiedzi na listy Dalii, 91 nr „RP". Dalio, ja mam dopiero 11 lat i chodzę do piątej klasy. Uważam, że na takie docinki nie powinnaś zwracać uwagi. Każdy przecież ma prawo lubić co innego. Ja także lubię muzykę poważną. I mnie też przeszywają, a ja udaję, że nic nie słyszę. Twoje koleżanki są, moim zdaniem, niemile, lecz należy ufać, że wyrosną z tego.

Izka

Piękne i dziwne imiona

Piszę w odpowiedzi na list Scholastyki, która sądzi, że rodzice dali jej i rodzeństwu bardzo dziwne imiona. W mojej rodzinie jest podobnie. Mama nosi imię Doris, tato Damian, ja Inez – Natasza, mój młodszy brat Dawid – Krystian, starsza siostra Adriana – Patrycja, a jej synek i córeczka: Sebastian – Bartosz i Klaudia – Mirella. Mieliśmy jeszcze siostrę, która zmarła w wieku 4 lat: Marzenę – Ingeborgę.

Scholko, ja wcale się tych imion nie wstydzę, a wręcz przeciwnie, jestem z nich dumna. Siostra spodziewa się trzeciego dziecka i gdy się narodzi, nada mu imię: Norbert-Patryk, lub Scholastyka-Sylwia. Mówię Ci, Scholka, nic się nie martw, to są naprawdę modne i ładne imiona. I nie rozpaczaj! Przesyłam Ci serdeczne pozdrowienia oraz życzę wszystkiego dobrego.

Inez–Natasza
z Poznania

REDAKCJA ODPOWIADA: Mariusz z Częstochowy – wielka szkoda, iż pod swoim krytycznym listem nie miałeś odwagi się podpisać imieniem i nazwiskiem oraz podać dokładnego adresu. Skoro jesteś takim uważnym czytelnikiem „Redakcyjnej Poczty", to powinieneś wiedzieć, że anonimów nie drukujemy. Niepotrzebnie więc wydałeś pieniądze na znaczek, papier listowy i kopertę.

Przy okazji przypominamy wszystkim innym czytelnikom przysyłającym anonimy do redakcji: podpisujcie się pod tym, co piszecie. Jeśli chcecie, aby Wasze nazwiska i adresy były zachowane do wiadomości redakcji, zaznaczcie to w liście. (bs)

Co o tym sądzicie?

Jestem członkiem jednej z bydgoskich drużyn harcerskich, istniejącej od dwóch lat. Jesteśmy drużyną turystyczną. Łączy nas wiele biwakowych i obozowych wspomnień i przeżyć. Tworzymy lub może raczej tworzyliśmy zwarty, zgrany krąg przyjaciół. Zdobywaliśmy wiele dyplomów, byliśmy zwycięzcami Biegu Pamięci Narodowej, jednym słowem wiele osób nas znało i lubiło. Wzbudzaliśmy sympatię niosąc radość, uśmiech, dobrą piosenkę czy pląs. Ta drużyna była odbiciem moich marzeń o prawdziwym harcerstwie, wysnutych na podstawie wielu książek i opowieści rodziców (kiedyś harcerzy). Czasem zdarzały się jakieś zgrzyty, ale nasz drużynowy i inni nam przyjaźni potrafili je załagodzić. Za kilkanaście dni mija druga rocznica powstania naszej drużyny. Właśnie teraz zdarzyło się to, o czym najbardziej chcę napisać.

Miał odbyć się biwak, noclegi organizował ojciec jednej z druhen. Niestety okazało się, że hufiec nic o naszym wyjeździe nie wie, a bez jego zgody biwak harcerski odbyć się nie może. Druhna opowiedziała to rodzicom i wówczas tata stwierdził, że noclegów na nielegalny wyjazd załatwiać nie będzie. Czy miał rację, czy nie to kwestia, którą możemy rozstrzygać w zależności jak kto na to patrzy. W każdym razie druhna informując o tym ojca postawiła sprawę szczerze i otwarcie. A tego przecież wymaga Prawo Harcerskie. Minęło kilka dni. Na radzie drużyny druh drużynowy stwierdził, że biwak nie odbył się dlatego, że druhna wypaplała rodzicom to, czego nie powinna. Powiedział też, że miał to być biwak prywatny. Moim zdaniem, jeśli miał to być nawet prywatny biwak, rodzice mieli prawo oczekiwać pełnej i szczerej o nim informacji. Przecież gdyby powiedziała, że wszystko jest w porządku, skłamałaby!

Na wielu zbiórkach w ciągu tych dwóch lat uczono nas, że mamy postępować zgodnie z Prawem Harcerskim. Zawsze! A nie w zależności od okoliczności. Może ktoś powie, że to co się zdarzyło, to małe nieznaczące głupstwo. Wystarczy, że takich „głupstw" będzie 10 potem 20, że popełni je nie jedna druhna a 8, 9, 10 i więcej. Co wtedy? Nie wiem czy to, co napisałam ma jakiś sens. Może niepotrzebnie wyolbrzymiam pewne sprawy. Druhny i Druhowie wypowiedzcie się na ten temat. Co Wy o tym sądzicie?

Teresa z Bydgoszczy
Nazwisko i adres znane redakcji

JUŻ NIE STRASZY

Konkurs rysunkowy p.n. „Wspomnienia z wakacji"

Rok harcerski 1983/84 w hufcu Rawa Mazowiecka zapoczątkowało wspólne spotkanie drużyn harcerskich i zuchowych. Starannie przygotowany program bawił wszystkich przez kilka godzin. 10 września od samego rana słońce uśmiechało się do przechodniów, a szczególnie do harcerzy i zuchów w gali mundurowej podążających na zbiórkę, która ku uciesze wszystkich rozpoczęła się w kinie. Serwowany film bardzo się widzom podobał, a opowiadał o przygodach Misia Kolargola na Dzikim Zachodzie. Po projekcji wszyscy przeszliśmy na boisko rawskiego liceum. I tu dopiero rozpoczęły się prawdziwe harce. Poprzedzone zostały krótkim apelem, gdzie mieliśmy okazję zobaczyć prawie cały harcerski stan hufca Rawa Maz., po czym ster spotkania przejęli harcerze starsi, zaś główny sternik dh. Bożena Szewczyk proponowała różne konkursy. Można było m. in. zaprezentować swe umiejętności plastyczne – rysując wakacyjną przygodę lub doskonalić sprawność, rywalizując w „wyścigach niedźwiedzi polarnych po lodowych krach". Były pląsy, degustacja pysznych świeżutkich pączków i konkursy – a skoro konkursy to i nagrody. Każdy otrzymał małą kolorową piłeczkę, jako pamiątkę pierwszego spotkania w roku harcerskim 1983/84. Kolejny rok harcerskiej działalności został otwarty – rok poświęcony realizacji horągwianej kampanii „Bohater". Udane spotkanie będzie na pewno impulsem do aktywnej pracy drużyn i, mam nadzieję, ciekawych pomysłów, niczym kolory pamiątkowych piłeczek.

Niechaj ta korespondencja będzie optymistyczną odpowiedzią na artykuł dh. Joli Zdanowskiej pt. „W hufcu straszy" z 111 nr „ŚM" z roku 1982.

Ryszard Gasiński
Rawa Mazowiecka

Ważna informacja dla zainteresowanych uczniowskim ruchem naukowym

OGÓLNOPOLSKI SEJMIK NAUK HUMANISTYCZNYCH

Realizując założenie programowe rozwoju uczniowskiego ruchu naukowego, Związek Harcerstwa Polskiego organizuje podczas trwania roku szkolnego wiele imprez, mających na celu prezentację własnego dorobku utalentowanej młodzieży. Dotychczas odbyły się m. in. ogólnopolskie sesje naukowe z zakresu ochrony środowiska, etnografii, twórczości technicznej. Uczniowie mieli okazję zaprezentować na nich wyniki swych prac śródrocznych lub wykonanych na obozach naukowych, podyskutować z pracownikami nauki – wybitnymi specjalistami w danej dziedzinie wiedzy, otrzymać od nich pomoc merytoryczną i metodologiczną.

W dniach 2–4 XII 1983 r. odbędzie się w Łodzi Ogólnopolski Sejmik Nauk Humanistycznych pod hasłem „Młodzież wobec problemów współczesnego świata". W sejmiku tym udział wziąć mogą harcerze jak i uczniowie nie zorganizowani, którzy do dnia **15 października br.** nadeślą pod adresem: **Komenda Hufca ZHP Łódź-Śródmieście, ul. Sienkiewicza 100** swoje prace, w których podejmą jeden z następujących tematów:

a) pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe – zagrożenie i nadzieja

b) środowisko naturalne człowieka – zniszczenie czy świadome współżycie,

c) osobowość młodego człowieka: jakimi jesteśmy, jakimi być chcemy, jakimi być powinniśmy.

Organizatorami sejmiku są: Główna Kwatera ZHP, Komenda Łódzkiej Chorągwi ZHP i Uniwersytet Łódzki. Przewidziane są obrady plenarne oraz w grupach problemowych. Wszystkie nadesłane prace zostaną wnikliwie ocenione przez pracowników nauki i wydrukowane w „Preceptorze" – zeszytach naukowych uczniowskiego ruchu naukowego.

Wydział Kultury i Nauki GK ZHP

POMARZYĆ DOBRA RZECZ

Wpięć lat po „Wielkiej podróży Bolka i Lolka" powstał drugi już pełnometrażowy film animowany, wyprodukowany w Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej. Ogólnopolska premiera „Przygód Błękitnego Rycerzyka" odbyła się 9 września br. w kinie „Złote Łany" w Bielsku-Białej. Jego twórcy – autorzy scenariusza – reżyser Lechosław Marszałek i Leszek Mech oraz kompozytor muzyki do filmu – Waldemar Kazanecki, dostarczyli dziecięcej widowni niemałych wzruszeń, i chociaż pomysł filmu powstał w latach sześćdziesiątych i najpierw nakręcono serial telewizyjny, to w obecnej, ekranowej wersji nie stracił nic na swojej aktualności.

„Przygody Błękitnego Rycerzyka" utrzymane są w konwencji ballady, romansu wzorowanego na średniowiecznym eposie rycerskim. Nie brak w nim brawurowych pojedynków, porwania księżniczki, a także tajemniczego eliksiru życia. Bohaterem jest leśny duszek – szlachetny elf, walczący bezinteresownie ze złem i wszelką przemocą. W wyimaginowanym świecie owadów bohaterowie filmu kierują się ludzkimi uczuciami – dobrymi i złymi. I choć wszystko – jak to zwykle w bajce bywa – kończy się szczęśliwie, to świat w którym żyją, walczą i kochają postaci filmu – sielanką nie jest. Każda sekwencja kończy się morałem. Dobro zwycięża, i to szlachetne przestanie oby towarzyszyło widzowi, gdy się rozstanie z kreowanym przez twórców przebogatym światem fantazji.

Niezaprzeczalnym atutem „Przygód Błękitnego Rycerzyka" są wspaniałe dekoracje plastyczne, a jego dodatkowym walorem dopełniającym całości jest muzyka Waldemara Kazaneckiego i piosenki wykonywane przez „Alibabki", Piotra Fronczewskiego, Wiesława Michnikowskiego i wielu innych znanych aktorów.

Niewiele mamy na naszych kinowych ekranach dobrych i wartościowych filmów dla najmłodszych. Dziwi więc fakt, że nikt nie wie kiedy „Rycerzyk" zostanie wprowadzony do szerokiego rozpowszechniania. Może warto byłoby się pospieszyć, żeby spragniona dobrego filmu najmłodsza publiczność mogła obejrzeć w kolorze, na szerokim ekranie obraz zrobiony specjalnie dla niej...

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW

Po zwycięstwie – przed decyzją

Zmistrzem świata w modelarstwie rakietowym, panem MIECZYSŁAWEM TWARDOWSKIM rozmawia Jerzy Dąbrowski.

– Modelarstwem zajmuje się pan już ponad 20 lat. Czy pamięta pan swój pierwszy model?

– Oczywiście! Mając 12 lat zacząłem od „Świerszczyka", to była połowa lat pięćdziesiątych. Potem zrobiłem „Jaskółkę", kilka szybowców klasy IA, ale nie bardzo mi z tym szło na zawodach ze względu na kłopoty, które mam z nogą. Zajmowałem się również przez jakiś czas budowaniem makiet i wiernych kopii samolotów napędzanych silnikiem spalinowym. Taki model startuje z ziemi, sam wykonuje lot i również samodzielnie ląduje. Modele były tak skonstruowane – poszczególne części łączyliśmy gumkami – że nawet w wypadku zbyt „twardego" lądowania ulegały niewielkim uszkodzeniom. Po prostu – rozpadały się na kawałki bez większej szkody dla siebie...

– Zainteresowanie rakietnictwem przyszło więc później?

– Tak prawdę mówiąc, to dopiero około 1970 roku. Byłem już wówczas instruktorem, a zainteresował nas tym mój były kierownik pan Ewaryst Cywiński. Zacząłem więc budować modele rakiet...

– W pańskiej sytuacji było to stosunkowo łatwe, miał pan do dyspozycji znawców tematu, materiały... A co ma zrobić ktoś, kto ma tylko chęć?

– Przede wszystkim musi zapisać się do modelarni! Po to właśnie, żeby mieć to, co i ja wówczas miałem. Bez instruktora i fachowej pomocy niczego nie zwojuje. Chyba że będzie zupełnie wyjątkowo utalentowany...

– No, ale powiedzmy, że ktoś taki się objawi i zgłosi na jakieś lokalne zawody. Co wtedy?

– Można go dopuścić do konkurencji, mimo iż nie jest zrzeszony. Bywają takie przypadki, szczególnie w ramach akcji „Młodzi modelarze na start" – ale nie pamiętam, aby któryś z nich okazał się miejsca lepszy i stanął na podium...

– A kiedy panu się to zdarzyło po raz pierwszy?

– W 1964 roku na Mistrzostwach Polski zdobyłem II miejsce w modelach samolotów napędzanych silnikiem, o których już mówiliśmy. W 1980 przegrałem w makietach z trzema Bułgarami tylko jednym punktem! W bieżącym roku na Międzynarodowych Zawodach Państw Socjalistycznych zdobyłem znów III miejsce, drugi był kolega z tego samego Słupskiego Aeroklubu co ja – Ryszard Smoliński. Mam szczęście do III miejsca, bo np. w Hiszpanii na Mistrzostwach Europy 1979 – też byłem trzeci, tyle że w rakietoplanach...

– Dziś jest pan po najwyższym indywidualnym sukcesie, jaki może osiągnąć modelarz. Pierwszy raz zdobył pan najwyższe trofeum...

– Pierwszy, ale może i ostatni. W tej chwili wydaje mi się, że straciłem na to wszystko za dużo czasu. Takiej makiecie trzeba poświęcić lekko licząc tysiąc godzin pracy. Jeśli się wygra – jest jakaś satysfakcja. Ale modelarz częściej przegrywa i myśli wtedy – może nawet każdy z nas – jaki jest sens tego? No powiesi się na ścianie dyplom i co dalej? Znów od początku? A lata lecą, czas ucieka. Nieraz spotykamy się też z różnymi docinkami typu: dorośli ludzie, a bawią się, strugają z patyków modeliki, klejąmalują... Nie jest to więc wszystko takie proste, choć jedno wiem na pewno: modelarstwo uczy ponosić porażki i uczy, jak zachowywać się, kiedy wygrasz. Czasami to potem przydaje się w życiu. Bawię się modelarstwem rakietowym już 14 lat. Przegrywałem wiele razy, bywało – jak np. w Mistrzostwach Polski – że silnik detonował na wyrzutni, rozrywając model w drobny mak. Siedzi się potem setki godzin i robi nowy. Przed tymi mistrzostwami półtora miesiąca urlopu – bo miałem dwa tygodnie zaległego – spędziłem w modelarni, siedząc codziennie od siódmej rano do dwunastej w nocy! Tam już strajkować nie można, demonstrować też, ani wykręcać się od pracy. Tym razem dało to jakiś wynik – drużynowo zdobyliśmy równocześnie II miejsce. Ale myślę, że jeśli o mnie chodzi, to może już czas, żeby się wycofać? Jeszcze to przemyślę po powrocie, naradzę się z przyjaciółmi, zobaczymy. Moment jest dobry. Już nic lepszego od mistrzostwa świata zdobyć nie mogę. Ale to bardzo ciężka decyzja, choć wiem, że kiedyś będę ją musiał wreszcie podjąć...

Fot. J. Dąbrowski

Ośrodek Modelarski Aeroklubu Słupskiego, mieszczący się przy ulicy **Kilińskiego 11, 76-200 SŁUPSK**, zwraca się do wszystkich, którzy dysponują jakimikolwiek zdjęciami, wycinkami z prasy zagranicznej, ilustracjami lub innymi rycinami przedstawiającymi rakiety bądź inne konstrukcje kosmiczne całe lub we fragmentach. Jeśli nie są Wam potrzebne, przyślijcie je pod adresem naszego Ośrodka! Pomogą one naszym modelarzom przy budowie modeli makiet, a szczególnie przy opracowaniu szczegółów konstrukcyjnych. Coraz większy brak takich materiałów stanowiących dla modelarza dokumentację, coraz częściej wręcz uniemożliwia podjęcie pracy nad modelami. Materiały ilustracyjne można wysyłać również do kierownika Ośrodka, **Mieczysława Twardowskiego.**

ŚMIAĆ SIĘ... POWAŻNIE?

Zaczęło się od przypadku, jak to zwykle bywa w aktorskiej karierze. Zastąpił swego chorego kolegę w drugoplanowej roli, w której nie trzeba było wypowiedzieć ani jednego słowa. „Początek życia" – tak brzmiał tytuł tej sztuki, która istotnie stała się początkiem artystycznego życia Arkadego Rajkina – dzisiaj Artysty Narodowego ZSRR i laureata Nagrody Leninowskiej. Wtedy – w latach trzydziestych naszego wieku – student Instytutu Teatralnego w Leningradzie a następnie satyryczny aktor teatru Wsiewołoda Meyerholda. Umiał wykorzystać swój pierwszy sukces, aby odejść od teatru do estrady. Niezwykle dynamiczna osobowość Rajkina nie mieściła się bowiem w ramach scenariusza czy reżyserii innych. Chciał sam tworzyć – mówić od siebie, rozmieszać, lecz także zmuszać do myślenia. Wiedział, że jest chętnie słuchany, że wzbudza coraz większą uwagę i to nie tylko wśród publiczności, którą bawił. Stopniowo zyskuje poparcie aktorów i dramaturgów, którzy myślą podobnie jak on. Przy ich pomocy zakłada w 1939 roku pierwszy w ZSRR Leningradzki Państwowy Teatr Miniatur, obecnie przeniesiony do Moskwy.

Rajkin jako kierownik artystyczny i aktor swojego teatru niewiele miał czasu na spokojną, twórczą pracę. Przyszedł bowiem 1941 rok – brutalna napaść hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki. Pozostając ciągle artystą należało dokonać wyboru swojej roli w tej strasznej sztuce, której zakończenia nikt przecież nie znał...

Zdecydował, że będzie walczył, ale własną bronią – potężnym orężem śmiechu. Wraz ze swym zespołem występował na lotniskach wojskowych, okrętach, w jednostkach armii czynnej. To wojenne doświadczenie nie pozostaje bez wpływu na późniejszą twórczość satyryczną Rajkina. Przestają go interesować żartobliwe aluzje, błahostki i szczególiki. Jego teatr zaczyna cechować obywatelska przenikliwość i element filozoficznej zadumy nad życiem. Śmiech Rajkina staje się surowy, poważny.

W swoim ostatnim widowisku pt. „Jego Wysokość Teatr", Rajkin mówi widzom, że na scenie życia każdy z nas występuje w wielu rolach. Chodzi tylko o to, by odgrywać swoją rolę godnie, bowiem nie tylko wykonawca kreuje rolę, lecz także rola wyznacza sposób działania wykonawcy.

Arkadij Rajkin: „Nigdy nie wypowiem ze sceny czegoś, z czym się całym sercem nie zgadzam"

Pod pręgierzem śmiechu

Dlaczego zdecydował się na tę – satyryczno-prześmieszczą – formę artystycznej działalności? Czy nie prościej mówić wprost o ludzkich przywarach i słabościach? Nie, Rajkin wierzy, że wystawieni na pokaz jego antybohaterowie – ci wszyscy leniwi gadulscy, obojętni dwulicowcy, chełpliwi nieucy – staną się mniej niebezpieczni, bo albo się oburzą, zawstydzą, albo razem z innymi zaczną się śmiać – w każdym razie nie pozostaną obojętni.

Ośmieszenie staje się chłostą, która spadając nagle na grzbiet musi wywołać jakąś reakcję. Śmiać się bowiem lubią wszyscy, ale rzadko kto zniesie szyderczy, kłujący rechot, którego staje się obiektem. Satyryk, ośmieszając innych, staje się więc ich surowym nauczycielem i sędzią. Nakłada to jednak na niego obowiązek całkowitej zgodności wewnętrznej. Dlatego znamienne są słowa siedemdziesięcioletniego dzisiaj Arkadija Rajkina, który prawie pół życia spędził na scenie: *„Nigdy nie wypowiem ze sceny czegoś, z czym się całym sercem nie zgadzam"*.

Mimo sędziwego wieku wciąż chce służyć ludziom, których kocha może właśnie za to, że są słabi i popełniają ciągle te same błędy. Właśnie dlatego jest taki surowy, wraz ze śmiechem wyciska łzy, budzi do refleksji i zadumy, bo *„nie ma nic gorszego niż zadowolony z siebie optymizm"*.

Lubią go wszyscy w Związku Radzieckim, znają i cenią poza granicami. Jest artystą, w ustach którego monologi brzmią jak dopiero co powstałe improwizacje. Dlatego krewnani przez niego bohaterowie są tak bardzo bliscy i autentyczni dla każdego widza. Może dlatego właśnie należy z nich śmiać się... poważnie?

Według K. Kiryłłowej
Opracowała:
Elżbieta Sidorkiewicz

Praca nadesłana na konkurs pt. „Drogi do Wolności"

Wspomnienia pana JÓZEFA FLAKA – partyzanta Batalionów Chłopskich, a po wojnie pracownika organów Milicji Obywatelskiej.

TRZY WYROKI ŚMIERCI...

Jedni wspominają z rozrzewnieniem lata swojego dzieciństwa, rodzinny dom czy też wiek dojrzały, a ja powracam myślą... do świąt Bożego Narodzenia. Ale nie do tych pięknych, tradycyjnych, rodzinnych świąt, wiążących się z choinką błyskotliwie ustrojoną, ze stołem nakrytym śnieżnym obrusem, pod którym szeleści pachnące latem siano, z białym opłatkiem. Bo jak daleko sięgnę pamięcią, nigdy takich świąt nie przeżyłem, nawet w najwcześniejszym dzieciństwie. O urokach tego święta czytałem w książkach, dowiedziałem się od rówieśników. Ze starszym i młodszym ode mnie braciszkiem wybiegaliśmy w Wigilię pod upatrzone już uprzednio okna, w których jaśniała światłem świeczek choinka, i przytykając rozpłaszczone nosy do szyb podglądaliśmy, jak inni ucztują przy suto zastawionym stole... Pamiętam, że nosy wtedy mieliśmy przez dłuższy czas czerwone jak gile, śmieliśmy się z siebie, a dla rozgrzewki częstowaliśmy się kuksańcami, aby tylko jak najdłużej móc patrzeć w te „zaczarowane" okna.

Myślę, że mimo to, z większą niecierpliwością oczekiwaliśmy na ukazanie się pierwszej gwiazdki, niż inne dzieci. Bo i u nas odprawiało się święta Bożego Narodzenia na swój sposób. Właśnie raz w roku, w czasie tych świąt najadaliśmy się zawsze do syta.

Ojciec nasz pracował ciężko jako robotnik, ale często bywał bezrobotny. Wtedy matka wynajmowała się do różnych prac, lecz jakoś nigdy nie mogła związać końca z końcem. Nie dlatego, że była niezaradna. Przeciwnie, potrafiła zrobić z niczego „coś".

Najgorzej było z ubraniem i obuciem nas. Nieraz też poczuliśmy na sobie jej rękę. Skarżyła się ojcu, że „na tych łobuzach wszystko się pali". Nocami całymi ślęczała nad naszymi naprawdę tragicznie wyglądającymi ubraniami, abyśmy nie świecili gołym ciałem. Była niezmordowana. Skąd brała siły, nie mogę pojąć. Nie dosypiała i najmniej jadła, bo nigdy nie udało jej się zapchać naszych wiecznie burczących żołądków.

Ale jak już nadmieniłem, w święta byliśmy wszyscy syci. Matka nakupiła śledzi, napiekła ciasta (nawet mięso było na stole), toż to było używanie! W Wigilię stół był ustrojony białym obrusem, a pośrodku stał wazon z gałązkami jodły, które uprosiła od sąsiadów, gdy wycinali niepotrzebne gałązki z choinki. A więc i u nas pachniało świętami. Lecz ja nie te święta mam na myśli.

Wspominam te straszliwe, w 1943 roku, kiedy to w drugi dzień świąt Niemcy pochwycili mojego wówczas 16-letniego brata Kazimierza i storturowano na drugi dzień roztrzelali, gdyż nie chciał nas, partyzantów, zdradzić. Został pochowany w Wolbromiu... Zacznę jednak od początku...

Pechowe kino

Urodziłem się 24 kwietnia 1925 r. w Niegonowicach powiat Zawiercie. W 1939 ukończyłem szkołę powszechną w Łazach. Kiedy wybuchła wojna, nie rozumiałem ogromu tragedii. Przeciwnie, roiłem jak wszyscy chłopcy w moim wieku, że stanę się bohaterem. Nie wiedziałem tylko jak działać, co należy uczynić, aby okryć się chwałą...

I tak nadszedł 1942 rok. Nam, Polakom, nie wolno było uczęszczać do kina. Jednakże od czasu do czasu wyświetlano filmy przeznaczone tylko dla nas. Nie rozumiałem chyba tego zakazu. Toteż pewnego razu wraz z innymi chłopcami, moimi rówieśnikami udałem się na film dozwolony dla Polaków. I właśnie wtedy w naszym miasteczku jednemu z Niemców odcięto kaburę wraz z pistoletem. (Jak się później dowiedziałem, dokonał tego czynu jeden z chłopców należących do konspiracji). Niemcy okrążyli budynek kina i urządzili łapankę. Ja także znalazłem się w grupie pochwyconych. Wywieziono nas do więzienia w Sosnowcu. Przesłuchania były prowadzone przez gestapo przy udziale tresowanych psów, które rzucały się na nas i gryzły. Bito nas przy tym pałkami gumowymi. Nic zeznać nie mogłem, gdyż o konspiracji wówczas nie miałem jeszcze nawet zielonego pojęcia. Mimo to oświadczono mi, że zostałem skazany na karę śmierci. Obolały, cały w ranach, cierpiałem nieludzko i oczekiwałem ostatniej godziny życia. Nazwisko moje zostało umieszczone wraz z innymi skazanymi na karę śmierci na specjalnym ogłoszeniu. Ojciec mój widział je własnymi oczami.

Gdy wyprowadzono mnie z celi, zrozumiałem, że to będzie moja ostatnia w życiu droga. Do dzisiaj nie mogę pojąć, dlaczego wyroku nie wykonano. Może zawarzył tu fakt, że byłem młody, zdrowy i silny, a może dlatego, że żadnej winy mi nie udowodniono. Wywieziono mnie do miejscowości Durstein (obecnie Sucha Kamienica w powiecie nyskim), na przymusowe roboty. Przydzielono mnie Niemcowi o nazwisku Juppy, który był faszystowskim fanatykiem – znęcał się więc nad nami okrutnie.

Wytrwałem u tego potwora w ludzkim ciele przez długi jak wieczność rok. Dłużej nie mogłem i chociaż bałem się powrócić do domu, aby nie narazić rodziców na szykany, wiosną 1943 roku uciekłem w rodzinne strony. Ojciec był przerażony tą ucieczką. Musiałem się ukrywać do momentu, kiedy to mój ukochany staruszek sprawił, że wraz z transportem kolejowym znalazłem się w tzw. Generalnej Guberni i zamieszkałem w Kwaśniowie koło Olkusza. Biedny ojciec drżał o moje życie, bo widział mnie już wśród skazanych na śmierć. Nie wiedział nieszczęśliwy, że ratując moje życie... naraża młodszego syna na niebezpieczeństwo...

Gdy wyszła na jaw moja ucieczka z Niemiec, policja niemiecka aresztowała w zamian za mnie brata Kazimierza. Trzymano go przez 3 miesiące w więzieniu jako zakładnika. Mimo kilkakrotnych rewizji w domu rodziców, oczywiście bezowocnych, nie znaleziono mnie, gdyż ojciec milczał jak grób. Łudził się nadzieją, że niewinnego brata nie stracą, gdy mnie tym razem kara śmierci nie minęłaby na pewno. Po trzech miesiącach Kazimierza wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec.

W partyzanckim oddziale

W krótkim czasie po moim przyjeździe do Kwaśniowa partyzanci z Batalionów Chłopskich przybyli pewnego dnia wieczorem, aby sprawdzić kim jestem. Wśród nich znajdował się kolega ze szkolnej ławy – Eugeniusz Słowak. Szybko dochodzi do porozumienia, gdyż ja wyraziłem gotowość natychmiastowego wstąpienia do partyzantki. W ten sposób zostałem wcielony do oddziału, którego dowódca używał pseudonimu „Tadek". Siedziba dowództwa mieściła się w Załężu, miejscowości położonej pomiędzy Pilicą a Wolbromiem. We wrześniu 1943 roku złożyłem przysięgę i otrzymałem pseudonim „Czarny".

Brat mój, Kazimierz, nie był tak wytrzymały i cierpliwy jak ja. Dlatego już po kilku tygodniach pobytu w Niemczech uciekł i szczęśliwie przedostał się do mojego oddziału. Nie muszę nadmienić, jak bardzo ucieszyłem się z jego udanej ucieczki.

Nasze akcje

Ponieważ mieliśmy poważne trudności z wyżywieniem, oczekiwaliśmy aż Niemcy zgromadzą większą ilość produktów rolnych zabranych chłopom w ramach kontyngentu, i wtedy robiliśmy „skok", jak to się popularnie mówiło, co przyczyniało się do w miarę dobrej aprowizacji.

W Wolbromiu istniała w tamtym czasie garbarnia, a przy niej produkowano obuwie. Niemcy garbarnię rozbudowali i produkcję przestawili dla potrzeb wojennych. Kilkakrotnie uszkadzaliśmy tę fabrykę, unieruchamiając na jakiś czas normalną produkcję, a gotowe produkty zabieraliśmy, by je przekazać do okręgu. Do naszych zadań należało także mianowanie torów i oczywiście rozbrajanie Niemców.

Oddział nasz nawiązał kontakt z grupą AL dowodzoną przez kapitana Aleksandra Niewskiego i porucznika Jurka podchodzenia rosyjskiego. Wielokrotnie wspólnie z nimi wykonywaliśmy różne działania. Właśnie w czasie jednej z takich wspólnych akcji mój brat Kazimierz dostał się w ręce wroga w ten znamienny, drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Wtedy to dopiero pojąłem ogrom nieszczęścia, jaki dotknął już niejednego z nas.

Zginął z ręki wroga... ale ja do dzisiaj czuję się bezpośrednio winny, bo może gdybym nie uciekł wówczas, może bratu udałoby się pozostać w domu, może przeżyłby straszliwe lata okupacji...

Nigdy nie oszczędzałem się, ale od tej pory rwałem się do walki, domagałem się udziału w każdej akcji i jakoś zawsze wychodziłem z największych opresji zwycięsko. Ale i mnie powinęła się noga. Zostałem aresztowany po przeprowadzonym śledztwie, podczas którego wróg nie potrafił zmusić mnie do zeznań, zostałem skazany na karę śmierci... już po raz drugi. Pogodziłem się z losem i szczęśliwy, że się nie załamałem, że nie zdradziłem współbraci partyzantów, czekałem końca.

Pewnego dnia wyprowadzono mnie z celi. Rozstrzelać mnie mieli za Wolbromiem. Ale śmierć nie była mi jeszcze przeznaczona. W czasie transportu udało mi się zmylić czujność eskorty. Uciekłem i wróciłem do rodzinnego oddziału BCh, by nadal brać udział w różnych akcjach. Dzięki współpracy z AL nawiązałem kontakt z miejscową komórką PPR w końcu 1944 roku.

Po wyzwoleniu, w styczniu 1945 będąc już członkiem partii zostałem skierowany do pracy w organach Milicji Obywatelskiej na terenie powiatu zawierciańskiego z siedzibą Komendy Powiatowej MO w Zawierciu. W tamtym okresie istniało w kraju wiele ugrupowań o podłożu reakcyjnym, które prowadziły walkę bratobójczą z wszystkimi zwolennikami i sympatykami władzy ludowej. Mordowano członków PPR, a szczególnie działaczy partyjnych, funkcjonariuszy MO, Urzędu Bezpieczeństwa i żołnierzy Wojska Polskiego. Jedna z takich właśnie band pod dowództwem „Maniusia", działająca na terenie powiatu olkuskiego, będzińskiego i zawierciańskiego, wydała na mnie wyrok śmierci za to jedynie, że byłem członkiem PPR i pracowałem w milicji. Wyroku nie wykonano – im też, jak dwukrotnie Niemcom nie udało się pozbawić mnie życia...

Opowieść spisał
Stanisław Kurkiewicz
Szkolne Koło Przyjaciół ZBoWiD w Głubczycach

LICZNIK WYŁADOWANIA AKUMULATORÓW

USA (PAP). Naukowcy z General Electric opanowali nową metodę pomiaru wyładowania akumulatorów kwasowo-ołowiowych. Licznik wyładowania akumulatorów rozwiąże problem pojazdów elektrycznych – stworzy możliwość określenia, czy baterie są wystarczająco naładowane. Urządzenie to bazuje na sensorze wilgotności. Ilość pary wodnej w akumulatorze zależy od koncentracji kwasu siarkowego w roztworze, a to z kolei jest uzależnione od stopnia jego naładowania. Prototyp licznika daje odczyty poziomu naładowania z dokładnością do 10 proc.

Słabą stroną jest to, że licznik ten rejestruje tylko szybkie zmiany wilgotności. Autorzy wynalazku twierdzą, że nie przeszkodzi to przy wykorzystaniu tego urządzenia w pojazdach elektrycznych przy pomiarze rozładowania akumulatorów. (jo)

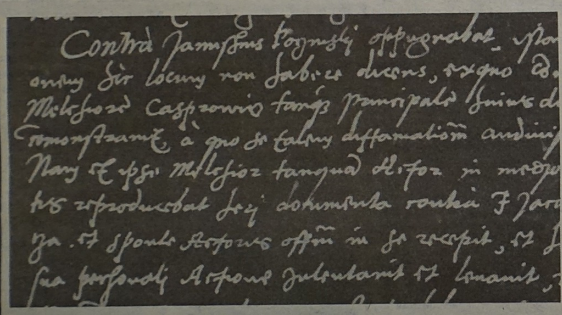

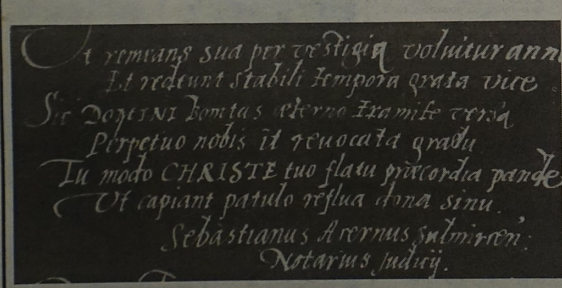

Niełatwo było rozgryźć tajemnicę pisma lubelskiego rajcy i sławnego XVI-wiecznego poety Sebastiana Fabiana Klonowica. Raz pisał tak, a raz zupełnie inaczej

RAJCA KLONOWIC pod lupą milicyjnej kryminalistyki!

Dla świata nauki, szczególnie zaś dla filologów polskich, odkrycie ekspertów kryminalistyki KW MO w Lublinie stanowi prawdziwą rewelację naukową. Zidentyfikowano XVI-wieczne pismo.

– Jak do tego doszło? – pytam kpt. Edwarda Kelera i por. Andrzeja Łuszczuka.

– W 1980 roku doc. dr hab. Halina Wiśniewska zwróciła się do nas z prośbą o ustalenie, które strony „Ksiąg Miejskich" z XVI wieku napisane zostały przez ówczesnego rajcę Lublina – Sebastiana Fabiana Klonowica. Do przebadania mieliśmy ponad 4 tys. stron! Materiałem porównawczym miały być trzy dedykacje, uznane za oryginalne, które Klonowic złożył na swoich dziełach „Victoria deorum" i „Philtron". Niestety, owe trzy dedykacje są zbyt ubogie, by pozwalały na kategoryczne stwierdzenie, że wyszły spod jednej ręki. Dodatkowe utrudnienie stwarzała niemożliwość wypożyczenia ksiąg z archiwum. Trzeba było fotografować je na miejscu i w pracach badawczych posługiwać się mikrofilmem. Prawie 200 metrów taśmy filmowej trafiło do laboratorium KW MO. Gdybyśmy chcieli posłużyć się tradycyjną metodą badania pisma, należałoby każdą dedykację porównywać z każdą stroną księgi, a więc dałoby to 12 tys. możliwości. Musieliśmy szukać innego wyjścia. Założyliśmy, że Klonowic jako rajca miejski musiał własnoręcznie pisać pewne dokumenty, albo chociaż je podpisywać. A jeśli tak, to możliwe jest utworzenie zbioru materiału graficznego, który posiadałby cechy indywidualne pisma Klonowica, i porównanie go z dedykacjami. Odwróciliśmy więc funkcje materiału porównawczego i dowodowego.

Żmudna praca nad identyfikacją pisma trwała kilka miesięcy, ślęcząc godzinami nad tekstem por. Łuszczuk i kpt. Keler eliminowali kolejne znaki graficzne, strony, aż ustalili, że 490 spośród 4 tys. stron napisanych jest ręką Klonowica. Kilkadziesiąt innych zawiera tylko fragmenty jego pisma. Znajdują się również w „Księgach Miejskich" teksty, pod którymi złożył swój urzędowy podpis Mistrz Sebastian, ale niestety zapisane są inną ręką (np. opis pożaru Lublina z 1575 r.) Przy okazji dowiedziono już ponad wszelką wątpliwość, że wspomniane dedykacje pisane były przez samego Klonowica.

– Analiza materiału – mówi por. Łuszczuk – pozwala na stwierdzenie, iż Sebastian Fabian Klonowic, ówczesny rajca i poeta był ogromną indywidualnością. Swobodnie posługiwał się pięcioma formami pisma, wydawać by się mogło zupełnie od siebie różnymi. Mistrz Klonowic zupełnie inaczej, oczywiście chodzi o stronę graficzną, pisał o sprawach ważnych, dotyczących miasta Lublina, a inaczej o sprawach mniej istotnych, często anegdotycznych. Ekspertyza kryminalistyczna pomogła w rozwiązaniu konkretnej zagadki historycznej, ale także wzbogaciła wiedzę dotyczącą regionalnej polszczyzny, historii obyczajów, historii szkolnictwa oraz zweryfikowała wiele stwierdzeń na temat biografii Klonowica. (dn)

Fot. archiwum

Dziś „Świat Młodych" rozmawia z kpt. Krystyną Kulczycką – st. inspektorem Wydziału Ruchu Drogowego Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych

Poświęćmy im więcej uwagi!

„ŚM" – Czy łatwo kobiecie wykonywać ten męski jednak zawód? Bo milicjant kojarzy się na ogół z mężczyzną...

K.K. – Na pewno nie, zwłaszcza gdy ma się na głowie rodzinę; w moim przypadku męża i 6-letniego synka. Kobiety wprawdzie garną się, ale równie szybko odczuwają uciążliwość służby w mundurze – „świątek czy piątek", absorbującej czas, kolidującej z obowiązkami w rodzinie. Ja na przykład bardzo często miewam zajęte popołudnia, nawet niedziele i święta. Wtedy najczęściej odbywają się spotkania z dziećmi i młodzieżą, różne imprezy – wyścigi kolarskie, młodzieżowe spartakiady, harcerskie rajdy. Trzeba je „zabezpieczać", np. rajd harcerski doprowadzić bezpiecznie do granic województwa. Nie narzekam, wprost przeciwnie – bardzo to lubię. Taki już mój zawód...

„ŚM" – Jaki?

K.K. – Profilaktyka – praca z dziećmi na terenie Warszawy i całego województwa. Pogadanki, prelekcje: znaki drogowe, zasady bezpiecznego poruszania się po ulicach i drogach. W szkołach, w domach dziecka, na koloniach, w Pałacu Młodzieży. Wciąż te same sprawy. Zdawałoby się – gadanie w kółko. Ale dzięki temu „gadaniu" ktoś już na pewno uniknął śmierci.

Powtarzając, uczulając swoich słuchaczy na pewne sytuacje widzę ich zainteresowanie. Uczniowie znają wcale nieźle znaki drogowe, przejmują się sprawami ruchu drogowego. Opowiadają, co sami widzieli, przeżyli, dyskutują. Spotkania ze mną i moimi kolegami na pewno zapamiętają. Zdarza mi się często prowadzić pogadanki w Pałacu Młodzieży. Potem w jakiejś warszawskiej szkole, gdy wchodzę do klasy, witają mnie jak dobrą znajomą.

„ŚM" – O co pytają?

K.K. – Och, o przeróżne rzeczy, zwłaszcza ci młodsi. O moją pracę, o to, co zrobić, by zostać inspektorem ORMO do spraw ruchu drogowego. „Chwalą się", że tatuś czy wujek miał wypadek drogowy...

„ŚM" – Czy pani – młodej kobiecie – łatwiej jest pracować z dziećmi i młodzieżą niż mężczyźnie?

K.K. – Na pewno tak, zwłaszcza z tymi młodszymi. Kontakt jest znacznie ułatwiony – stosunki przyjacielskie, bezpośrednie. Nie ma dystansu, jak często z mężczyzną. Zresztą – ja lubię dzieci, chętnie z nimi przebywam. Nie drażnią mnie i nie męczą. Mój synek, Konrad, nie zawsze jest z tego zadowolony, uważa że mama jest zbyt zaabsorbowana innymi dziećmi.

„ŚM" – Wszelkie te działania, o których rozmawiamy, mają jeden cel: zapobiec wypadkom – śmierci, kalectwu, nieszczęściu. A tymczasem, jak mówią statystyki, rocznie w wypadkach ulicznych i drogowych ginie nadal cała szkoła, około 650 dzieci!

K.K. – To prawda. W ubiegłym roku zginęło w Polsce 656 dzieci i młodzieży do lat 18, a rannych – w wyniku wypadku drogowego – było 9 148! W tym roku w samym województwie warszawskim liczby te wzrosły o 40 procent. Warunki zmieniają się na niekorzyść, jest coraz więcej samochodów i coraz więcej niepokoi kierowców...

„ŚM" – Przed czym Pani przestrzega?

K.K. – Dzieciom należałoby poświęcić jeszcze więcej uwagi, chronić je – a nie wszyscy rodzice tak postępują. Gdy jeżdżę po Warszawie samochodem i widzę tuż przy jezdni rozbrykanego „wrotkowicza" czy chłopca na rowerze przejeżdżającego spokojnie przez pasy dla pieszych – aż ciarki mnie przechodzą! Przecież jest tysiąc i jedna sytuacja na jezdni, które mogą ich zaskoczyć! Wcale nie jest takie pewne, że ten samochód, który zbliża się do pasów dla pieszych, na pewno się w czas zatrzyma...

„ŚM" – A co z miasteczkami ruchu drogowego?

K.K. – Jest ich sporo; w Warszawie np. cztery. Są potrzebne, na ogół dobrze wyposażone, czynne cały rok i dostępne. Można tam uzyskać kartę rowerową, ale co znacznie ważniejsze – praktycznie poznawać różne sytuacje, jakie na co dzień stwarza nam ruch drogowy w mieście.

„ŚM" – Na kursie, na którym robiłam prawo jazdy, wykładowcy przestrzegali bez przerwy: uwaga na rowery, motorowery itp. Omijać z daleka! Czy rzeczywiście te pojazdy, którymi posługują się również nasi czytelnicy, są aż tak groźne?

K.K. – Trochę w tym przesady. Choć rowerzyści czy motorynkowicze jadący beztrosko grupą czy bez oglądania się za siebie zmieniający pas ruchu są autentyczną groźbą dla siebie i innych.

„ŚM" – Czy coś zmienia się w sposobie uzyskiwania karty rowerowej czy motorowerowej?

K.K. – Karty rowerowe nadal wydawane rowerzystom od lat 10, nie tracą swej aktualności, ale będą ważne tylko ze zdjęciem właściciela. Motorynki i motorowery muszą być rejestrowane w Wydziale Komunikacji. Od ich użytkowników wymaga się posiadania przy sobie potwierdzenia zgłoszenia do rejestracji. Minimum wieku niezbędne do otrzymania karty motorowerowej (nowe!) wynosi 15 lat, a nie jak dotychczas – 13 lat.

„ŚM" – Ile dzieci na terenie całego województwa warszawskiego posiada w tej chwili karty rowerowe?

K.K. – Jest ich 12 164. U mnie, czyli tylko w Wydziale Ruchu Drogowego, wydaliśmy już ok. 500 kart.

„ŚM" – Prowadzi Pani samochód. Jak dawno? I czy zdarzył się Pani jakiś wypadek?

K.K. – Jeżdżę od 10 lat, dotychczas – odpukać – bez wypadku. Uważam bardzo, ale znam też warszawskie ulice znakomicie. Skorzystam jeszcze z jednej okazji, by ostrzec dzieci przed tymi miejscami, które w Warszawie są szczególnie niebezpieczne: Al. Krakowska, Al. Niepodległości, ul. Generalska, droga E-12 (przez Marki) są bardzo groźne. Wiele dzieci przechodzi tam przez jezdnię idąc do szkoły, a ruch samochodowy jest ogromny. Więc – uwaga!

„ŚM" – Czy cała ta propaganda i profilaktyka jest skuteczna?

K.K. – Wiem, że jest potrzebna, konkretna – że trafia do młodzieży. Wiem – bo dzieci żywo reagują, interesują się, zapamiętują. Dyscyplina na drogach jest coraz gorsza – myślę tu o dorosłych. Intensywnie szkoli się dzieci – w przyszłości da to efekty, oczywiście jeśli nie będzie zbyt wielu negatywnych przykładów ze strony dorosłych. Dziś mamusia przeprowadzająca swe dziecko przez jezdnię przy czerwonym świetle nie jest jeszcze rzadkością.

„ŚM" – Życząc powodzenia w żmudnej, a tyle dobrego przynoszącej pracy – dziękuję Pani za rozmowę.

KRYSTYNA KLIMOWICZ

Fot. **Marek Szymański**

BĄDŹ BEZPIECZNY NA DRODZE!

Każdego roku na naszym kraju w wypadkach samochodowych ginie kilkaset dzieci, a zatem tyle, ile liczy sobie średniej wielkości... szkoła podstawowa. Porównanie – być może makabryczne, lecz jakże sugestywne. Ofiary śmiertelne to jeszcze nie wszystko! Kilka tysięcy dzieci wychodzi z wypadków z poważnymi obrażeniami ciała. Wiele z nich pozostaje kalekami na całe życie.

A co mówi ta tragiczna statystyka o przyczynach drogowych nieszczęść? Otóż ponad połowa wypadków spowodowana jest przez lekkomyślne zabawy i harce na jezdniach lub w ich pobliżu. Duży procent śmiertelnych wypadków powodują także rodzice przewożąc swoje pociechy na bardzo niebezpiecznych przednich siedzeniach samochodów. Wreszcie równie często ulegają wypadkom młodzi nieuważni rowerzyści.

Wiele instytucji i organizacji od dawna łamie sobie głowę, jak zapobiec tej ogromnej ilości ofiar wśród najmłodszych użytkowników dróg. W warszawskich szkołach dość popularne są „lekcje bezpieczeństwa drogowego" prowadzone przez pana **Władysława Paszkowskiego** na zlecenie Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy. Zupełnie nie przypominają one zwyczajnych szkolnych lekcji, tym bardziej, że ich uwieńczeniem jest zawsze przejażdżka kolorowym fiatem Polskiego Związku Motorowego. Ten sam fiat służy także do zademonstrowania tzw. „próby hamowania". Oto pan Paszkowski pędzi samochodem z szybkością 90 km/h i nagle na drodze pojawia się nieoczekiwana przeszkoda. Rozlega się pisk opon, lecz niestety, nie udaje się zahamować w porę. Na szczęście przeszkodą tą była tylko specjalnie tu umieszczona stara opona. Ale gdyby to był nie pokaz, a normalna jazda, a na drodze pojawiło się dziecko, które lekkomyślnie wybiegło na ulicę prosto pod koła rozpędzonego samochodu!... Strach pomyśleć, co by się stało.

Podczas lekcji odbywa się także mały egzamin ze znajomości podstawowych reguł ruchu drogowego i znaków. Za każdą prawidłową odpowiedź – upominek w postaci Kodeksu Młodego Rowerzysty lub zabawnego światełka odblaskowego. Emocji w każdym razie nie brakuje i mimo że niecodzienna lekcja trwa około 3 godzin, to nikt się nie nudzi.

Czy wypadków będzie mniej dzięki takiej edukacji? Gwarancji pan Paszkowski nie daje: – Wystarczy mi jedynie, jeśli po tej lekcji młodzi ludzie uświadomią sobie, jak bardzo niebezpiecznym miejscem jest droga i ile uwagi potrzeba, aby bezpiecznie nią przejść lub przejechać. Zresztą wydaje mi się, że to bardzo dużo.

PS. Zdjęcia wykonaliśmy dla Was podczas „lekcji bezpieczeństwa drogowego" w ogrodzie jordanowskim przy ulicy Odyńca w Warszawie. **(jz)**

Fot. **Maryla Zieleniewska**

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

SUZUKI KLASY 50

Wśród pojazdów wytwarzanych przez jednego ze światowych potentatów produkcji jednośladów, japońską firmę Suzuki swoje miejsce mają również motorowery. Pojazdy te o pojemności 50 cm sześc. i szybkości maksymalnej do 40 km/godz., dawniejszy motorower przypominają już tylko z nazwy.

Motorowery z firmy Suzuki to z wyglądu „rasowe" motocykle z wszystkimi nowoczesnymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi techniki motocyklowej. Jedynym reliktem mającym przypominać o przynależności do klasy motorowerów jest umieszczony na kierownicy zwyczajny dzwonek rowerowy.

Aby nie przekroczyć obowiązującego podziału motorowermotocykl wszystkie produkty Suzuki 50 mają tak dopasowaną moc, iż mogą osiągać prędkość 40 km/godz. Jednakże do krajów, gdzie nie obowiązują ograniczenia prędkościowe dla tej klasy, którą reprezentują, dostarczane są w wersjach, których szybkość maksymalna przekracza znacznie 40 km/godz.

W ramach klasy 50 Suzuki wytwarza następujące typy pojazdów: SUZUKI X 1 E, SUZUKI GT 50 KE, SUZUKI TS 50 ER, SUZUKI TS 50 – ich sylwetki zewnętrzne przedstawiają załączone zdjęcia.

Wspólną ich cechą są jednakowe silniki oraz ramy i mechanizmy zawieszenia. Różny jest wystrój podwoziowy, który w jednośladach tworzą błotniki, lampa, zbiornik paliwa, siedzenia, obudowa skrzynki narzędziowo-akcesoryjnej itp.

Silnik jest jednostką dwusuwową, jednocylindrową, o pojemności 49 cm sześc. i w zależności od tego w jakiej wersji jest stosowany wartość stopnia sprężania wynosi 6,3 lub 6,9 a moc 2,2 KW i 2,3 KW. Zasilanie w mieszankę paliwową następuje przy pomocy gaźnika, przy czym do zbiornika leje się wyłącznie czyste paliwo, a olej wlewa się do specjalnego zbiornika umieszczonego w obudowie pod siedzeniem. Wymieszanie niezbędnej dla dwusuwowego silnika mieszanki paliwowo-olejowej we właściwym stosunku następuje automatycznie za pośrednictwem specjalnego dozownika.

Napęd przenoszony jest na koło tylne za pośrednictwem łańcucha i pięcioprzekładniowej skrzyni biegów.

Koło przednie zawieszone jest na widelcu teleskopowym, tylne na wahaczu resorowanym sprężyną śrubową, wewnątrz której umieszczony jest amortyzator.

Obręcz kół w wersjach X 1 E i GT 50 KE są odlewane, w pozostałych dwóch pojazdach, które wykonane są na modłę pojazdów terenowych, są szprychowe.

Hamulce przednie są tarczowe w wersjach X 1 E i GT 50 KE, bębnowe w wersjach TS 50 i TS 50 ER, tylne we wszystkich wersjach bębnowe.

Poza prędkościomierzem, znajdującym się nad przednim światłem we wszystkich motocyklach, wersje X 1 E i TS 50 ER wyposażone są w obrotomierze.

Ciężar motocykli w zależności od wersji waha się w granicach od 79 kg (TS 50) do 89 kg (X 1 E).

Jak już informowałem opracowanie niniejszych materiałów umożliwił mi prospekt dostarczony przez **Krzysztofa Rafe**.

Jednocześnie informuję tych, którzy zamierzają przekazywać mi ciekawe materiały do naszego kącika, że nie mogę gwarantować z przyczyn technicznych ich zwrotu.

W związku z listem otrzymanym od **Roberta Torbickiego** zawiadamiam, że nie wykorzystane materiały, które mi przesłał odesłałem z powrotem, a innych nie posiadam.

ZENON DUTKIEWICZ

Zielono mi (22)

Zbiór owoców i warzyw na zimowe zapasy

W październiku zbieramy owoce do zimowego przechowywania, a także warzywa korzeniowe: marchew, pietruszkę, selery, pory i inne. Jabłka przechowują się najlepiej jeśli zerwane są dokładnie w czasie tak zwanej dojrzałości zbiorczej, a więc nie za wcześnie i nie za późno. Jesienne odmiany jabłek dojrzewają we wrześniu, natomiast odmiany zimowe: Jonatan, Starking, Red Delicious, Golden Delicious, Bankfroft, Piękna z Boskoop, Koksa Pomarańczowa i wiele tak zwanych renet dojrzewa w październiku. Dojrzałość zbiorczą poznajemy po tym, że dają się łatwo oderwać wraz z szypułką od pędu, zaś pod drzewami pojawiają się zdrowe opadłe owoce. Jabłka i gruszki do przechowywania muszą być zdrowe, nie uszkodzone przez owady, czyli jak to się mówi popularnie „nie robaczywe". Owoce zrywamy delikatnie do koszyków, łubianek, skrzynek i tu zaczyna się problem – gdzie i jak je przechować.

Jabłka i gruszki zbierane w nowoczesnych sadach przechowuje się obecnie w chłodniach lub w chłodzonych przechowalniach w temperaturze od 0 do 2°C, w atmosferze wilgotnej, bogatej w dwutlenek węgla, lecz ubogiej w tlen. W tych warunkach owoce zapadają jakby w sen, dalszy proces dojrzewania jest zahamowany, nie gnią, nie tracą wody i pozostają smaczne i jędrne aż do wiosny lub nawet do następnych zbiorów. Aby owoce przechować trzeba je schłodzić i zabezpieczyć od utraty wody. Sposobem domowym najłatwiej jest przechowywać owoce w piwnicach domków i altanek, gdzie nie ma centralnego ogrzewania. Piwnice te można chłodzić jesienią przez otwarcie okien na noc i zamykanie na dzień. Zimą okna powinny być uchylone stale, aby napływało do nich chłodne powietrze. Z reguły piwnice te są zbyt suche jak na przechowanie jabłek. Dlatego skrzynki i koszyki trzeba wyłożyć od wewnątrz gazetami i również z wierzchu okryć owoce gazetami, aby nie traciły wody. Jeszcze lepsza jest folia polietylenowa, którą można wyłożyć skrzynki. Można zrywać i przechowywać jabłka w woreczkach z folii polietylenowej lecz trzeba w niej zrobić kilka otworów dla odprowadzenia gazu etylenu, który w czasie przechowywania owoców się wydziela.

Gruszki można przechować dłużej tylko w temperaturze około 0°C. Stąd jeśli mamy większy zapas zimowych gruszek, to najlepiej jest przechowywać je na drzewie aż do mrozów, czyli nawet do połowy listopada. Gruszki do spożycia zrywamy partiami stopniowo. Dojrzewają po kilku dniach.

Warzywa korzeniowe wykopane w październiku i złożone do suchej i stosunkowo ciepłej piwnicy podobnie jak i owoce tracą wodę, więdną, stają się mało wartościowe. Po wykopaniu trzeba je koniecznie złożyć w piwnicy na przyzmę, lub do skrzynki i przysypać wilgotnym piaskiem. W piasku przechowują się doskonale. Niektóre warzywa jak pietruszka, selery, pory, mają wartościowe, bogate w witaminy liście, które warto jak najdłużej przechować. Pietruszka może pozostać całą zimę w gruncie bez obawy zmarznięcia, lecz pamiętajmy o tym, że w czasie śniegu i mrozu może być niedostępna. Warzywa te bardzo ładnie można przechować w głębokim rowie na zagonku. Rów kopiemy tak głęboki, aby selery, pory, pietruszka, skorzonera, kapusta brukselka, zmieściły się swobodnie. Wykopane rośliny ustawiamy obok siebie obsypując korzenie ziemią. Wypełniony rów można zostawić otwarty zwykle aż do grudnia lub dłużej. Kiedy temperatura spadnie poniżej -5°C rzucamy na rów kilka desek, trochę słomy lub zeschłych badyli i tworzymy zimową przechowalnię pod śniegiem. Z przechowalni takiej można wyciągać przez zimę zielone, jędrne i zdrowe rośliny. Niektóre warzywa na przykład pietruszkę, cykorię, selery warto podpędzić zimą dla świeżej natki. Te sadzimy do skrzynek balkonowych, przechowujemy w piwnicy, a w odpowiednim czasie przynosimy do domu na okno.

AUGUSTYN MIKA

ZIELONA POCZTA

Wojciech Hryniewicz z Jeleniej Góry i Renata Kardyl z Gorlic mają kłopot z cytrynami i pomarańczami. Drzewka są już duże, rosną, lecz nie kwitną i nie owocują. Na dodatek liście na dolnych gałązkach żółkną i opadają.

Domyślam się, że opisane drzewka cytrusowe wyrosły z nasion i niestety nie zakwitną wcześniej jak w 10 lat po posadzeniu. Rośliny cytrusowe są roślinami zimo-zielonymi, lecz w warunkach suszy, nadmiernego uwilgotnienia gleby lub chłodu mogą zrzucić najstarsze liście. Najczęstszą jednak przyczyną żółknięcia i opadania liści są szkodniki: przędziorki i tarczniki. Szkodniki te są widoczne na liściach przysłanych przez Renatę. Szkodniki te można zwalczyć przez 2–3 krotne zmycie liści gąbką namoczoną w roztworze płynu do mycia „Ludwik". Zmywanie trzeba powtarzać co tydzień. Roztwór przygotowujemy w proporcji 1 łyżeczka od herbaty płynu „Ludwik" na 1 litr wody.

Augustyn Mika

Akwarium dla każdego (październik)

JAK ZDOBYĆ ŻYWY POKARM DLA RYB?

Sztuczny i suchy pokarm nie wystarcza rybkom akwaryjnym do prawidłowego rozwoju. Wiele z nich wskutek braku pokarmu żywego w codziennym jadłospisie ma trudności z rozmnażaniem się, nie zabarwia się prawidłowo, słabnie z pokolenia na pokolenie. Najczęściej stosowany żywy pokarm – to **rozwielitki** (dafnie), **oczliki** (cyklopy), a także **rurecznicki** (tubifeksy) oraz **doniczkowce**.

Oczywiście – najłatwiej jest po prostu kupować żywy pokarm w sklepach akwaryjnych, ale – jak nas poucza doświadczenie – na dłuższą metę stanowi to wcale niemałą pozycję w skromnym budżecie ucznia. Dlatego doskonale rozumiem pytanie **Hani Dreli** z Strzegomia, **Darka Szymańskiego** ze Stargardu, **Jacka Wonsa** z Krakowa i wielu innych: **jak zdobyć żywy pokarm „własnym przemysłem"?** Tubileksy radzę mimo wszystko kupować od czasu do czasu w sklepie; o domowej hodowli doniczkowców napiszę kiedy indziej; dziś więc – o łowieniu dafni i cyklopów oraz larw komara. Popatrzcie na rysunek – widzicie na nim interesujące nas rodzaje żywego pokarmu (w dużym powiększeniu).

Najprostsza **siatka do połowu** pokarmu – to mniej więcej 40-centymetrowy odcinek starej pończochy (bez dziur!) założony z jednego końca na obręcz (średnicy 20 cm), a z drugiego – związany u dołu. Dafnie, cyklopy i larwy komarów znajdujemy we wszystkich czystych wodach – jeziorach, stawach, rzekach i sztucznych zbiornikach. Wystarczy zanurzyć siatkę na długim kiju w wodę i wykonywać nią płynne „ósemki", a po kilku minutach wytrząsnąć zawartość do słoika z wodą. Zasada jest prosta: zabieramy to, co nam potrzebne, resztę wyrzucamy. Szczególnie dbamy o to, by **nie zawlec z pokarmem do akwarium drapieżnych larw chrząszczy, ślimaków itp.**

Do transportu pokarmu do domu używamy dobrze zabezpieczonych słoi lub blaszanych baniek. Cyklopów, dafni i larw komarów nie wolno długo przetrzymywać, gdyż giną one względnie szybko i rozkładają się w wodzie. A rybkom dajemy ich tylko tyle, ile zdołają zjeść w ciągu 1–2 godzin (trzeba to sobie wymierzyć doświadczalnie). Trzeba też pamiętać, że **ważna jest zmiana pokarmu**: jednego dnia dajemy suchy, drugiego – larwy komarów, trzeciego – dafnie itd. A **jednego dnia w tygodniu można zrobić rybkom „post"** i nie karmić ich wcale – wyjdzie im to na zdrowie.

ODPOWIADAM NA LISTY

Z pokaźnej paki blisko pół tysiąca listów, jakie nadeszły od ostatniego wydania naszego kącika wybrałem te, które zawierają powtarzające się pytania i na które odpowiedź może zainteresować szersze grono młodych akwarystów. **Uwaga:** nie mogę działać na zasadzie „pogotowia ratunkowego"!

Nie piszcie więc: *„Moja rybka jest bardzo chora, poradźcie, co mam robić"*, gdyż na listy – poza odpowiedziami w gazecie – nie odpisuję. A proces produkcji „Świata Młodych" jest dłuższy niż proces rozwijania się choroby rybek, taka pomoc więc byłaby zawsze spóźniona.

Renata G. z Cieszyna. Oczywiście – polecam akwaria klejone, bez ram metalowych. Trzeba je jednak przy kupnie dokładnie sprawdzić czy nie cieknąą i nie mają żadnych uszkodzeń i rys. Wymagają też szczególnej ostrożności. Stawiać je należy zawsze na bardzo równym, płaskim miejscu i izolować od podłoża płatem plastikowej pianki lub grubym sukiennem. O basenach tego typu napiszę wkrótce szerzej.

Waldemar Stern z Zagłębia, Basia N. z Radomia i inni. Należy bardzo uważać, by przy przenoszeniu rybek akwaryjnych np. ze sklepu do domu, z własnego akwarium do kolegi itp. jak najmniej narażać je na szkodliwe wahania temperatury. Dlatego słoik czy pojemnik plastikowy dobrze jest owinąć, włożyć do pudełka z pianoplastiku (np. niepotrzebnego opakowania).

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

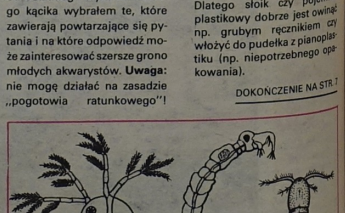

Od lewej: dafnia (rozwielitka), larwa komara wodzienia (niekłócącego), oczlik (cyklop). Wszystko w dużym powiększeniu. Ten rysunek ma Wam pomóc w rozróżnianiu schwytanego żywego pokarmu dla rybek

JAK ZDOBYĆ ŻYWY POKARM DLA RYB?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

Przyniesionych rybek nie wolno wlewać od razu do akwarium lecz włożyć tam razem z pojemnikiem na minimum pół godziny, by temperatura wody wewnątrz pojemnika osiągnęła temperaturę wody w akwarium. Dopiero wtedy wylewamy rybki wraz z wodą.

Anka St. z Gdyni, Tadeusz Janowicz z woj. opolskiego. Kierownictwo redakcji „Świata Młodych" – spełniając życzenia czytelników – uznało, że „Akwarium dla każdego" będzie się ukazywać raz na miesiąc. Trzeba więc pilnie śledzić gazetę. Dziękuję wszystkim za nadesłane pozdrowienia.

ILE PŁACIMY ZA RYBKI I AKCESORIA?

W każdym wydaniu „Akwarium" chcę podawać **ceny, pobierane** za rybki i artykuły akwaryjne **w sklepach, na giełdach, u hodowców** w całym kraju. Dlatego **proszę moich korespondentów** o nadsyłanie mi aktualnych wiadomości w tej sprawie – będę je wykorzystywał w naszym kąciku.

A oto ceny z połowy września w warszawskich sklepach spółdzielczych.

RYBY: neony – 70 zł sztuka, platki – 40 zł, gupiki – 50 zł, mieczyki – – 50 zł. welony – 40 zł, gurami – 90 bojowniki siamskie – 40 zł, skalary – 50 zł, welony q 40 zł, gurami – 90 zł, żałobniczki – 40 zł; w każdym wypadku chodzi o rybki młode, takie jakie kupuje do hodowli początkujący miłośnik akwarium.

AKWARIA: całe szklane – klejone, bez ram, 70 litrów – 2300 zł, 45 l – 1450 zł, 30 l – 1200 zł; akwaria z ramami – 15 l – 741 zł, 30 l – 926 zł.

PRZYBORY: filtr wewnętrzny – 150 zł, karmniki do pokarmu na przyssawkach – 20 zł i 50 zł, pokarm „Mikrovit" – 25 zł torebeczka, doniczkowce (porcja zarodowa) – 50 zł, porcja żywej dafni w torebce z wodą – 60 zł.

Moim zdaniem – drogo! Gdzie taniej? Czekam na sygnały!

DANIO MALABARSKI

INFORMACJA O WARUNKACH PRENUMERATY „ŚWIATA MŁODYCH" na 1984 rok

CENA PRENUMERATY: mies. 65 zł., kwart. 195, półr. 390, rocz. 780 zł.
WARUNKI PRENUMERATY:

1. dla osób prawnych – instytucji i zakładów pracy:
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach;
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

2. dla osób fizycznych – indywidualnych prenumeratorów:
– osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
– osoby fizyczne, ale tylko niepełnosprawne i mieszkające samotnie w miastach – w siedzibach RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch".

3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-1. Prenumerata za zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 procent dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 procent dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:
– do dnia 10 listopada na miesiąc styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny;
– do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Autorami moich portretów w rolach: zająca i diabła są **Joasia** (lat 7) i **Mariusz** (lat 9) **Kołusowie**, których zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Członek Rzepklubu – **Kasia Przyborowska** proponuje wszystkim, którzy mają kłopoty z ortografią, tekst do ćwiczeń:

Spadł Jerzy z wieży i nie wierzy, że leży. Gdy Pomorze nie pomoże to może pomoże Gdańsk. Mnichów dwóch przeprawiło się przez rzekę w bród, zmyli brud z nóg i z długich bród.

Trzeba nauczyć się tego na pamięć i próbować z pamięci napisać.

*

Oto problem:

Rzepie! Mam lat szesnaście, jestem ładna i zgrabna. Moją zmorą jest to, że rosnę! W tej chwili mam 179 cm wzrostu i rosnę dalej. Mój chłopak nie chce chodzić ze mną na dyskoteki, bo już go przerosłam. Z powodu mojego wzrostu mam mało przyjaciół, wszędzie słyszę: „ta długa"... Jestem najwyższa w szkole. Jak mam postąpić z moim chłopcem, który odchodzi ode mnie? Proszę o wydrukowanie mego listu, może ktoś, kto jest w podobnym kłopocie napisze do mnie.

Małgorzata Zamiara
ul. Grunwaldzka 68/4
72-600 Świnoujście

O Małgorzato! Popatrz „z góry" na tych, co Ci dokuczają i tych, co opuszczają Cię z powodu wzrostu. Jesteś zgrabna i ładna, a Twój wzrost dodaje Ci oryginalności. W rozmaitych środowiskach panuje przekonanie, że liczą się tylko ludzie tuzinkowi, jednakowi, szarzy. Nie daj Boże czymś się wyróżnić z ich tłumu. Choćby wzrostem. Takie jest moje zdanie na temat Twojego „problemu", Małgorzato. Uśmiechnij się i przebacz, że to właśnie ja (a nie Redakcyjna Poczta) odpowiadam na Twój list. Trafił on do mnie, bo zawierał także wesoły rysunek Twojego brata.

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żarty rysunkowe wysperali: Elżbieta Mazur, Mariusz Komidzierski i Maciej Kowalczuk. Zapisuję ich do klubu.

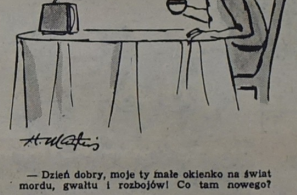

— Dzień dobry, moje ty małe okienko na świat mordu, gwałtu i rozbójów! Co tam nowego?

i skupione. – Skoro zadałeś sobie ten cały trud, żeby mnie tu odnaleźć...

Schylił się, podniósł koszulę leżącą na obmurówce basenu; zwężone mięśnie prześliznęły się gładko pod skórą, znowu poczułem lekkie ukłucie zazdrości. Z koszulą w ręku, wyprostowany, nieomal nagi na tle ciemnobłękitnego nieba, powiedział (pozostawało mi tylko żywić nadzieję, że owo, ledwie uchwytne szyderstwo, jest teraz czymś zwyczajnym w jego głosie):

– To miło, że przypomniałeś sobie o mnie, gdy okazało się, że ktoś jest ci potrzebny, Kew.

– Nie – „ktoś"; ty – chciałem powiedzieć, ale ugryzłem się w język w samą porę. Czy to była aluzja, wyrzut?

Cóż, można było i w ten sposób rozumieć; po katastrofie „Delphina", gdy Ray, jak ranne zwierzę uciekał od przyjaciół i zamykał się w sobie, mogłem, być może, dołożyć więcej starań, aby przełamać mur jego martwej rozpaczy, mogłem mu może pomóc. Gdybym naprawdę się o to postarał. Ale ja wolałem powiedzieć sobie, że każdy ma to prawo: do przeżywania w spokoju swoich dramatów. I że każda próba pomocy jest wtedy tylko uszczęśliwieniem na siłę, wtrącaniem się w cudze sprawy, najwyczajniejszym wścibstwem. Byłem o tym najgłębiej przekonany. Czy rzeczywiście? A może było mi tylko z takim założeniem wygodniej?

Myślałem o tym wszystkim idąc za Ray'em w kierunku bungalowu. Zielonkawa jaszczurka wygrzewała się w słońcu na pierwszym stopniu schodów, cienka skóra podgardla wzdymała jej się przyspieszonym oddechem. Nasze kroki spłoszyły ją, w jednej chwili senna nieruchomość przemieniła się w nieuchwytny dla oczu, zielonkawy błysk, znikający tak dokładnie w niedostrzegalnej dla mnie szparze pomiędzy kamiennymi stopniami, jakby jej nigdy nie było. Słaby podmuch wiatru, tak słaby, że nie poczułem go wcale na rozpalonej skórze, przyniósł ciężki i słodki zapach – magnolii? – oleandrów? – strącając na białe płyty rozległego tarasu kilka różowych płatków. To, że ta sama Ziemia miała i miejsce tak niepojęte jak Trójkąt, strefę grozy, w której ginęły tysiące ludzi bez śladu, wydało mi się nagle czymś niewiarygodnym.

– Tu będzie najwygodniej – powiedział Ray. Nie zaprotestowałem, choć byłem pewien, że wewnątrz domu byłoby znacznie chłodniej; miał tam chyba, do licha, jakąś klimatyzację. Siadając na skrzypiącym, bambusowym fotelu pomyślałem, że jednak trochę przesadza z tą swoją spartańskością; jeśli się chce pomieszkać trochę w prymitywnych warunkach, można wynająć coś przez „Głob-Turist" – na wyspach Polinezji, czy w innym z rezerwatów. Zamiana domu położonego tuż obok najelegantszej, słynącej z umiłowania luksusu metropolii na coś w rodzaju szałasu ermity lub chaty dziewiętnastowiecznego pioniera, to już naprawdę za dużo.

– Whisky, gin, koniak? – tak byłem zamyślony, że drgnąłem na dźwięk jego głosu. Pochylał się nad barkiem – prawdziwym, chłodzonym barkiem, w zaskakujący sposób wyczarowanym ze ściany – mniej chyba zdziwiłby mnie widok ciemnoskórego boya w kwiecistym, bawełnianym pareo, pojawiającego się z tacą w rękach, tak jak na starych filmach. Przełknąłem głośno ślinę.

– Whisky, jeśli już tak daleko psuwasz swoją gościnność. I masę lodu – co najmniej cztery kostki...

Nalał mi szybko, dla siebie zmieszał coctail. Przysiadł na brzegu stołu, przyglądał mi się z góry – jego oczy znów były poważne, taksujące.

– Teraz, kiedy wszelkim tradycjom stało się wreszcie zadość, możesz powiedzieć, co cię sprowadza, Kew.

Milczałem, stropiony. Czy dawniej też był taki – ironiczny pod pozorną układnością, twardy jak stal pod maską tej szyderczej grzeczności? Może i tak, tylko ja odwykłem, zacząłem widzieć go innym w swoich wspomnieniach. A może on się zmienił, po tej historii z Kris...

– Potrzebuję pilota. Bardzo dobrego pilota – wypaliłem. – Zostałem mianowany kierownikiem wyprawy, od powodzenia, której, nie ukrywam, zależy moja przyszłość. Znaczną część badań trzeba prowadzić z wodolotów, teren jest nazbyt wielki, by robić to w inny sposób. I sprawa zbyt poważna, nie tylko dla mnie, żebym nie starał się mieć najlepszych ludzi, jakich w ogóle...

Cdn.

Binio Bill kpuje WESTERNi... w KOSMOS!

TEKST I RYS. Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH
WARSZAWSKA GAZETA CODZIENNA

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska
Korekta
Barbara Wasilewska

Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3808/G M-70

NIE ZAPOMNIJ
TO
NASZ
POCZTOWY

00-561

UŚMIECH NUMERU

– DLACZEGO uparcie twierdzisz, że gwiazdy są zamieszkałe?
– Przecież co wieczór tam się świeci!

*

MICHAŁ przyprowadził swego psa do zegarmistrza.
– Dlaczego do mnie? – pyta zegarmistrz.
– Bo się co pięć minut zatrzymuje...

Wcisnąłem przycisk aparatury rejestrującej. Przez długi czas nic się nie działo; stałem przed wąską, zamkniętą na głucho furtką z uczuciem niepewności jakie ma zawsze człowiek obserwowany (wiedziałem, że cały czas, od naciśnięcia włącznika, teleobiektyw przekazuje mój obraz ekranom rozmieszczonym po całym domu) – i wobec tej świadomości czując się z każdą chwilą coraz to bardziej głupio. Trwało to długo, tak długo, że wreszcie pomyślałem, iż automat się zaciął lub nacisnąłem zbyt lekko, by włączył się rejestrator. Podniosłem rękę, by wcisnąć włącznik znowu i wtedy usłyszałem spokojny, równy głos Ray'a – głos, w którym nie słyszało się najsłabszego zdziwienia:

– Wejdź, Kew. Jestem koło basenu, po drugiej stronie domu.

Ten brak zaskoczenia świadczył, że widział mnie przez cały czas – wystarczająco długo, by zdołał je opanować. Może wahał się, czy w ogóle otworzyć. Nie zastanawiając się nad tym więcej, popchnąłem furtkę. Otworzyła się lekko, zaraz za murem zaczynał się duży ogród; dom, a raczej bungalow – biały i niski, ginął w zieleni; zdziczałe figi i oleandry, kapryfolium, kwitnące ciemnym fioletem, dawno nie przycinane glicynie, pinie i tamaryszki otaczały go tak splątaną gęstwą, jakby Ray'owi nie wystarczała brama i wysoki na osiem stóp mur; jak gdyby ścianą rozrośniętej zieleni pragnął się dodatkowo zabezpieczyć przed ciekawością natrętnych, ludzkich oczu. Ledwie to pomyślałem, wzruszyłem ramionami: chyba jednak przesadzałem z tym wszystkim, zaczynając Ray'a demonizować.

Ruszyłem żwirowaną alejką. Obszedłem dom dookoła, za wschodnią ścianą był rzeczywiście basen, niewielki, z bardzo błękitną wodą. I chyba dość głęboki – na jednym z krótszych boków zamocowano trampolinę. Pomyślałem: „nieźle się Ray urządził" i zobaczyłem go prawie w tej samej chwili. Szedł w moją stronę, ubrany tylko w slipy, opalony, połyskujący ściekającą po skórze wodą. Uśmiechał się. Ale oczy miał czujne.

– Miło zobaczyć cię znowu po tylu latach, Kew.

Przypuszczałem, że wcale nie był tym taki zachwycony; gdyby choć trochę zależało mu na moim widoku, miał tysiąc możliwości by skontaktować się ze mną w przeciągu owych lat. Ale udałem, że jego oświadczenie biorę za dobrą monetę – nie mogłem przecież pozwolić sobie na luksus okazania urazy, a w każdym razie – na pewno jeszcze nie teraz, nie w tej chwili. Wyszczerzyłem zęby w uśmiechu, którego beztroska – mam nadzieję – była przekonująca.

– Jak się chyba domyślasz, cieszę się z tego jeszcze bardziej od ciebie, Ray.

Nic się nie zmienił, a w każdym razie zmienił się bardzo mało: barczysty, wspaniale umięśniony, bez grama tłuszczu, z bezbłędnie wysklepioną klatką piersiową, i płaskim, nieomal wklęsłym brzuchem mimo dobiegającej czterdziestki; przybyło mu tylko trochę zmarszczek w kącikach oczu, ale to było wszystko. Patrzyłem z odrobiną zazdrosnego podziwu: byłem dziesięć lat młodszy, ale nie mógłbym, bez wpadania w kompleksy, mierzyć się z Ray'em. Poczułem złość – sam nie wiem: na siebie, czy na niego; pewnie dlatego bez żadnych wstępów powiedziałem to, co należało powiedzieć o wiele później, wtedy, gdy już zdołałbym stworzyć atmosferę zaufania i koleżeństwa:

– Przyjechałem, bo jesteś mi bardzo potrzebny, Ray... – urwałem na widok ironicznych iskierek w jego brązowych oczach. Ale było za późno; odkrytem karty, nim mógłbym się dowiedzieć, co on sam trzyma w ręku. Z punktu widzenia wszelkich możliwych taktyk postępowania był to cholerny błąd; wiedziałem o tym i rozumiałem, że Ray to także wie.

– Cóż, tak myślałem... – uśmiechnął się szeroko, w kącikach oczu zbiegły się drobne zmarszczki, ale oczy pozostały niezmienne: uważne

Dokończenie na str. 7